Elżbieta Żłobicka



Droga, jakich wiele

Powieść na motywach autobiograficznych

Elżbieta Żłobicka

Droga jakich wiele

Wersja Demonstracyjna

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2020

Elżbieta Żłobicka

„Droga jakich wiele”

Copyright © by **Elżbieta Żłobicka**, 2020

Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.** 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie

może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiejkolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Redaktor prowadząca: **Renata Grześkowiak**

Projekt okładki: **Martyna Friedla**, **Adam Brychcy**

Zdjęcia w książce: **Elżbieta Żłobicka**

Korekta: **Martyna Friedla**, **"Dobry Duszek"**

Zdjęcie na okładce: **Roman Rogalski**

Skład epub, mobi i pdf: **Kamil Skitek**

ISBN: **978-83-8119-708-3**

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.

ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin

tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

http://www.psychoskok.pl/

http://wydawnictwo.psychoskok.pl/

e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści:

Wstęp 9
I 16
A TAK TO BYŁO 16
Narodziny 17
Powrót 20
Awanturny Franek 22
Ciekawska 25
Potworek.....31
Ukołysz mnie 33
Józek 34
Promienie 36
Inna.....40
Oprawca delikatności 42
Oprawca delikatności 45
Ochłap 46
Ciucholand Granisza 47
Konkurs recytatorski 51
Wielkie miasto 55
Motyle 58
Strzępy 59
Co kobieta pamięta z czasów życia w bursie? 60
Strzęp 61
Strzęp 62
Następny strzęp nici pamięci 62
Kolejny strzęp 63
Strzęp 63
Strzęp 64
Strzęp 64
Strzęp 64
Strzęp 65
Strzęp 65
Strzęp 66
Strzęp 67
Strzęp 66
Strzęp 67

Strzęp 68
Strzęp 69
Strzęp 69
Strzęp 69
Strzęp 70
Strzęp 70
Strzęp 71
Strzęp 71
Strzęp 72
Oczy i ona.....74
Strzęp 78
Zwrot.....81
Dziewczyna z wiankiem.....85
Łza goryczy 87
Odchodzę 88
Ławeczka.....95
Strzęp 96
Strzęp 96
Strzęp 97
Strzęp 98
Strzęp 98
Strzęp 99
Strzęp 100
Strzęp 101
Strzęp 102
Strzęp 102
Kaprys 103
Strzęp 110
Oni 130
Kropka 131
Babuleńka.....135
Sęk 137
Ja muszę do dziecka 143
Ratunku 163
W poszukiwaniu pestki pomarańczy.....168
Beata 179
Królowa.....183

Diabły.....184
Kobieta z pełnymi rękami siniaków.....187
Noże pamięci.....191
A nie wiem, jak się nazywam… 193
II.....195
ŻYCIE JEST PIĘKNE.....195
Strzęp 196
Strzęp 198
Radosny czas.....199
Żebraczka.....202
Gołąb Miłości w moim domu.....206
III.....210
SNY.....210
Kwiat.....211
Armagedon we śnie.....211
Samotność we śnie i na jawie 213
Tak.....216
Córka do mnie przyjechała.....220
Arażka 221
Sasza.....222
Kameleon 224
Miniaturka w sercu.....225
Okradli mnie 227
Ciemne korytarze 231
Jest taka kraina 233
Łopot gołębich skrzydeł.....234
Wróciłeś.....235
Gdy wrócę 237
IV.....239
SAMOTNA ARKA 239
Pustka.....240
Struna.....243
Z pustki.....243
Październik, listopad, grudzień, styczeń, luty – podkuj buty.....244
SMS do Słońca.....245

Zjawa 246
Jestem w Panu zakochana 247
Guzik i pętelka 248
Supeł 250
Echo 251
Jedenaste piętro 252
Tydzień miłości 254
lalala 257
Wyrwane z kontekstu 258
V 263
OPOWIEŚCI PRZY PIECU 263
Przy piecu 264
Siostra siostrze 270
Zośka 272
Czas 275
Skarga pokornej starości 277
Kolejny miesiąc miodowy 281
Romano i Julietta 283
A tak to było... 284
Wspomnienia bzu 286
Anioł 288
Fredek 290
Tyle zostało 291
Pewnej niedzieli 293
Odszedł tato 295
Sama 299
Oddech Anioła 301
Oni dwoje 304
Dziadek 307

Szczęścia trzeba szukać w sobie,
A nie osoby, czy rzeczy, która Ci to szczęście da.

Wstęp

Książka, którą masz w rękach, zawiera teksty z różnych etapów mojego życia. To zbiór przemyśleń, reakcji na siebie i otaczającą rzeczywistość.

Zanim przewrócisz jej kolejną kartę, wiedz, że jest to historia oparta na faktach. To indywidualne podejście do bólu, który nosi w sobie niemal każdy. Jest to też próba rozliczenia się z ogromnym poczuciem winy, które ma w sercu prawie każdy, a które jest niczym innym, jak tylko skrępowaniem naszego ciała, umysłu i duszy. Ta droga, jakich wiele, w realiach życia na Ziemi, jest swoistym pogodzeniem się z Bogiem. Każdy Krok przybliża do świata, w którym żyjemy, do teraźniejszości, do tego, jakim się człowiek staje po wielu tragicznych zdarzeniach z przeszłości. Można oczywiście wybrać każdą inną drogę: drogę gniewu, niepogodzenia, barku akceptacji, nietolerancji i głębokiego żalu. Możemy sobie zadawać pytanie: „Dlaczego mnie to spotkało?”.

Nigdy się nie zastanawiam, dlaczego mnie coś spotyka i to jest ogromne zwycięstwo nad wydarzeniami, których doświadczyłam. Jednak niektóre z nich wracają jak bumerang. To dlatego rozpisanie tych bóli jest swego rodzaju lekarstwem, które ma wymazać je z życia. Przejście

każdego Kroku jest bardzo ważne dla mnie, jako autorki tego wydania osobistej historii.

Dodam, że nie jest to książka dla osób, które nie są gotowe na spotkanie ze zdarzeniami traumatycznymi, swoimi jak i innych. Jest to historia prawdziwa, tym bardziej trudna w odbiorze.

Żyjemy w złudzeniach, pod maskami, żyjemy w iluzjach i dlatego naga prawda jest trudna w przyjmowaniu. Zdejmijmy te wszystkie złudzenia i zaakceptujmy rzeczywistą stronę życia.

Elżbieta Żłobicka

sękate serce[1]

Przez lata intensywnego kontaktu ze sztuką teatru uznałam, że przede wszystkim powinna ona poruszać. Kiedy spektakl się kończył, a ja wychodziłam z teatru z niedotkniętym sercem, miałam poczucie, że zabrakło mi prawdziwego spotkania. Ela Żłobicka jest aktorką, a sztuka teatralna, którą zajmuje się na co dzień, chce poruszać. Wie o tym każdy, kto miał okazję zetknąć się z teatrem lalek w Opolu, w którym pracuje. Jej autobiografia jest rozgrywającym się na kartkach spektaklem, a autorka – demiurgiem: kreuje świat na własnych zasadach. Podzielony jest na Kroki – tworzą rozdziały i można je odczytywać jak akty w spektaklu. Jednak, jak szybko się zorientujecie, to nie tylko powieść biograficzna, ale też tomik wierszy, pamiętnik oniryczny i próbka sztuki epistolografii.

Wydostać się, wyrwać z kropli wody

Ela jest też kartografką...

Pamięć nie jest liniowa. Przypomina mapę, na której w różnych miejscach rozbłyskują wspomnienia. W miejsce starych pojawiają się nowe, o innym zabarwieniu emocjonalnym. Tak też można czytać tę książkę, ponieważ Ela uwalnia swoją pamięć i przechodzi w te rejony, które się manifestują w danym momencie. Ostatecznie,

podejmowana gra ma nas zbliżyć do prawdy – takiej jaką zna: bez makijażu scenicznego i zza kulis.

Otulam szalem radości dziecięcej
biegnącej po ostrych kamieniach

Lektura niniejszej książki będzie wyzwaniem dla każdej osoby, która traumatyczne doświadczenie traktuje jako sprawę do zamiecenia pod dywan w głęboko schowanej piwnicy. To, co w niej ukryte, pewnie i tak pęcznieje od wilgoci i wychodzi na światło dnia w najmniej oczekiwanych momentach.

Psychologia proponuje różne metody przepracowania traum, ale każda z nich prędzej czy później prowadzi do otwarcia drzwi i konfrontacji z tym, co głęboko ukrywane.

Dlatego też odważne zwierzenia, zawarte w dalszej części książki, możecie potraktować nie tylko jak spotkanie z bólem drugiego człowieka, lecz, jeśli coś Wam w środku kołacze – przedstawioną tutaj metodę Eli potraktujcie jako wstęp do własnego warsztatu i oczyszczenia.

Można się też oburzyć i rzucić książkę w kąt. Kiedy to się Wam ostatnio zdarzyło?

Ela wybiera, o czym nam opowie, ale od naszej decyzji zależy, jak sobie z jej spowiedzią poradzimy.

nie zostawaj obojętna

Przywilejem osoby piszącej wstęp jest możliwość wyrażenia swojego zachwytu. A mnie, niemalże wychowanej na punkrocku, zachwyca połączenie radykalnego dążenia do prawdy z zachowaniem poetyckiego stylu. Postać, którą autorka pozostaje w książce, wzbudza i gniew, i współczucie, chęć pouczania, ale też zrozumienie, a poza nimi jeszcze wiele innych emocji, z którymi nie zawsze jest nam po drodze w codziennym pędzie, albo których się wstydzimy przed samymi sobą.

Bardzo się cieszę, że mogłam pomóc w jej powstawaniu. Ela na bieżąco przesyłała mi fragmenty książki do korekty, dzięki czemu miałam poczucie, że pozostaję w środku wydarzeń. Każdego dnia tych wakacji czułam się, jakbym miała za chwilę odebrać telefon od przyjaciółki z dalszym ciągiem jej opowieści, mimo że znamy się głównie z relacji zawodowych.

krople deszczu i blask księżyca

Piszę do Was w sierpniowy poranek, chwilę po ósmej godzinie. Za oknem szaleje wichura z deszczem, a niebo zasnute jest ciemnymi chmurami. W nocy burza rozjaśniała pokój białymi fleszami i nie pozwalała zmrużyć oka. Przez cały dzień będę bliżej snu, niż jawy.

Myślę, że byłby to idealny poranek na lekturę niniejszej książki...

Martyna Friedla

Pusta kartka
niezapisana
błąkam się
z samego rana
pustka w głowie
ani słowa
boli głowa
może jednak
myślę coś
lecz nie mówię
bo też po co
sama nocą
miłość śnię
a tu ranek
dźwięczy pustką
owinięta czystą
chustką
wspomnień
smutnych
i tragicznych
gubię się
w myślach

licznych
tak bolesnych
że aż strach
po co gadać
po co mówić
to przestraszyć
może człeka
gdzieś tam na mnie
spokój czeka
lecz za chwilę
za momencik
spadnie ze mnie
ta zasłona
mroku myśli
błagam o sen
tam spokojnie
kolorowo
i wesoło
nic nie robić
dobrze jest
dzisiaj właśnie
mam ten gest
świecić pustką

I

A TAK TO BYŁO

Narodziny

– Franek! Franek! Chodź tu szybko!

– Co się stało?

– Jak to co?

– To już?

– Leć do Mariana. Dzwoń po pogotowie. Wody odeszły.

– Jezus! – Zabrakło mu powietrza, oczy zamgliły się przerażeniem.

Fakt, nie czuł nigdy tego bólu, ale widział, jak żona, żoneczka jego, rodziła. Jak pękała i krzyczała, rozdzierając niebo krzykiem. Ile w tym bólu i cierpliwości, miłości i gniewu, nie na dziecko, ale na ból. Ile krwi i ulgi po narodzinach. Dzisiaj jakoś dziwnie boleśnie krzyczała, śnieg siekł, słońce skrywało się za chmurami, nieśmiało zerkając na boleściwą matkę, stojącą w progu ledwie skończonego domu. Włożyli oboje dużo pracy i pośpiechu, by nie błąkać się po cudzych domach, wynajętych pokojach i kątem mieszkać po rodzinie i sąsiadach. To wreszcie koniec.

Dzieci wybiegły z domu, ale matka krzyczała:

– Wracajcie do domu! Wracajcie!

Przybiegł z powrotem ojciec – tato zasapany.

– Trzeba konie i wóz. Jedziemy!

– O Boże! Boże! – lamentowała. – Nie dojadę, to tak długo, długo...

– Chodź, wsiadaj.

Jak spokojny i powolny, tak teraz zaprzągł konie szybciej niż zwykle. Ręce trzęsły mu się z przerażenia i czucia.

– Już, już! Wsiadaj. Chodź tu, Krzysiu, pomóż mamie.

I ten sześcioletni chłopiec dźwigał matkę tak, jak potrafił. Na słomie położyli koc. Syn przykrył mamę i zeskoczył, bo tato krzyczał, uderzając lejcami w zadki koni:

– Wio! Wio!

Konie szarpnęły, lecz ospale, a deszcz ze śniegiem siekł. Matka przykryła twarz kocem. Boleściwe krople pogłębiał ból. Droga była długa, konie nie chciały galopować, szły stępa, wciąż przed siebie. Tato co chwilę zerkał do tyłu, gdy słyszał jęk matki. Poganiał konie:

– Wio! Wio!

Zapiekło go w klatce piersiowej, serce zabolało. Ból rozlał się na całe ciało i szumiało w głowie. Dobrze, że deszcz padał, bo zemdlałby z bólu przejęcia.

– Długa droga! Czemu taka długa?

– Franku, nie wiem.

I gdyby ktoś zobaczył usta, zobaczyłby bezruch. Myślą wyrażane słowa padały jak żałość.

– Już niedługo, za chwilę będziemy. To już most.

– Słyszę.

Koc nie poruszył się nawet, gdy żona wypowiadała te słowa. Franek siedział, ale zrozumiał wymowę słów bez

dźwięku.

Pielęgniarka przybiegła. Niesiono nosze, by przenieść Zośkę. Na imieniny Zofii kwitną bzy i o nich myślał, gdy przekładano ją z wozu na nosze. Nie zdążyły położne przebrać, tylko tak, jak Franek ją przywiózł, położono ją na porodówce. Wwieziono windą do nieba jakby. Cudem techniki.

– Pośladki widać. Widać pośladki – mówiły do siebie skupione i lekko przerażone położne.

– Wołaj lekarza!

– Nie ma go!

– Przyj! Przyj!

Naciskały łokciami na brzuch, aby pomóc pani Zofii. Pękała z bólu, krzyczała, zaciskając oczy i usta z resztką zębów. Niewiele ich zostało. Z zacisku tego wyrwał się przerażający krzyk rozdartej Zośki.

– Szybciej, szybciej.

– Przyj! Przyj! Teraz!

– Idzie, wychodzi pomału! Jeszcze raz!

Bezdźwięk dziecka po narodzinach, długi jak wieczność, przeraził położne. Klepnęły w pośladki dziewczynkę i rozległo się sapnięcie, a potem jej płacz.

– Już oddycha!

Sine dziecko po ciężkim klapsie płakało. Z ust matki, z głębi duszy wydobył się głęboki oddech ulgi i ciche:

– O Jezu.

– Córkę masz – rzuciły.

– Boże, co to będzie?

Położna pokazała dziewczynkę matce.

– Boże, jaka ona śliczna. Matko jedyna. – Ciepło rozlało się jej w sercu, oczy zaiskrzyły miłością i ciepłem matczynym. – To piąte moje dziecko żywe.

Zofia przeżyła szóstą drogę narodzin, a piątą do życia.

– Jakie ma śliczne oczka. Oddycha? Zdrowa? Cała?

– Tak, pani Zofio, zdrowa.

– O Jezu. Bogu niech będą dzięki.

Powrót

Zmęczona, opatulona w koc, z maleństwem na rękach, obolała, wsiadła na wóz, bo kto by tam jakiś samochód zamawiał. „A po co, gdy ma się wóz, prosić o łaskę kogoś? Kto by się tam prosił”.

Słońce grzało tego dnia, jak na tę porę roku, dość mocno. Lekki wiatr szumiał w gałęziach drzew, a konie szły powoli, noga za nogą. Już nie trzeba było się spieszyć. Dziecko spało wtulone w ramiona matki, siedzącej na samym wozie, a nim tylko słoma i koc. Ogarnął ją spokój, że wraca do domu, do dzieci, bo przecież jak tam sobie dają radę bez matki… „Pewnie bałagan, pewnie szum i rozgardiasz. Chłop nie zrobi tego, co matka. I świnie trzeba oporządzić, gnoje

powywalać, krowy podoić. Chłop tego nie zrobi. Gnoje to wywali, ale krowy pewnie zapieczone”.

– Franek, krowy podojone?

– Tak. Gnoje Krzysiu powywalał. Trzeba jechać do skupu i oddać świnie. Zabiłem świniaka, to będzie co jeść.

– A kaszanki narobiłeś?

– A jak! Dobra wyszła, i kiełbasy narobiłem. Popili my trochę z Marianem. Głowa boli.

– Ty pijesz i pijesz. Dzieci patrzą – krzyczała z wozu głosem przerażająco desperackim.

Dziecko spało nadal, a wiatr szumiał.

– Czemu się drzesz?! Tylko trochę. Jak przy świniaku nie napić się? No i trzeba uczcić dziecko.

– Trzeba do księdza, dziecko ochrzcić, do urzędu.

– Ty, a jak się będzie nazywać?

– A bo ja wiem? Elżunia.

– No dobra. Pojadę w przyszłym tygodniu i zarejestruję.

– Nie ma czasu, trzeba do domu. Dzieci głodne.

– A co ty się martwisz o dzieci? Siedź tu, jak ci dobrze. Dzieci nie zginą, dadzą radę. Duże już są.

– Ale głodne. Trzeba dać jeść.

– A...! – krzyknął i zamilkł, bo nie mógł więcej tłumaczyć. „Ona ciągle swoje: głodne i głodne. A robota nie zając, nie ucieknie. Zdąży się ze wszystkim, do czego tu się spieszyć?”

Dojechali do chałupy, płotu jeszcze nie było. Matka promienistym wzrokiem obrzuciła gospodarstwo i nowy

dom. Dzieciaki wybiegły na podwórko z wrzaskiem.

– Mama jedzie! Mama! – krzyknęły i umilkły, gdy wysiadała z wozu. Zaglądały w zawiniątko, ciekawe nowego dzidziusia.

– Ale mała! Pokaż, pokaż...

– Zostawcie, bo upadnie i będzie nowy kłopot. Aj... – stęknęła, zsiadając z wozu. – Jak ciężko. Zostawcie! Odejdźcie. Idźcie się bawić. Potem popatrzycie.

– Franek, weź dziecko potrzymaj.

– A daj mi spokój, nie mam czasu. Do roboty muszę iść.

– No, potrzymaj, bo mi ciężko.

– Aj!

– Nachlałeś się, to teraz ciężko.

– Głowa mnie boli. Daj mi spokój!

– A... – znowu stęknęła i poszła sama do domu. „Dziecko trzeba nakarmić, posprzątać, coś ugotować”.

W domu bałagan, rzeczy porozwalane, naczynia niepomyte, łóżka niepościelone.

– Nie ma mnie w domu trochę, to nie wiadomo, w co ręce włożyć. Oj, Boże, Boże – lamentowała.

Awanturny Franek

– W domu tyle roboty, świń tyle, a nic z tego nie zostaje, wszystko do skupu, dla państwa oddać trzeba. Człowiek się narobi, naharuje, a tu wszystko dla państwa. Z tą komuną nie da się żyć. Wszystko dla nich, a dzieciaki nie mają nic. Ziemię kupić samemu, dom wybudować. Przecież nic człowiek nie ma, wszystko rodzina zabrała, my zostali sami z dziećmi. Dobrze, że chociaż zdrowe. Z pola, jak się zbierze, to też wszystko dla państwa trzeba zdać. Roboty mnóstwo, ale chociaż człowiek popatrzy, jak rośnie zboże, jak słonko przypieka, a pszczoły wesoło bzyczą w kwiatach. Gdyby tylko nie te ptaszki ćwierkające w uszach, byłoby dobrze. Ja wszystko zrobię, i prąd, i studnię wykopię, i świnię zabiję, obrobię. A wyroby jakie dobre, i dla dzieciaków będzie, i sam się najem. Nigdy śniadania nie zjadam z rana, bo żeby zjeść, to trzeba sobie zapracować, to jem o 12:00, jak już wszyscy obiad zjedli. A ja nie, trzeba zapracować.

Zawsze zmęczony po jedzeniu, z wielkim sapnięciem, kładł się do łóżka, bo trzeba było odpocząć, poleżeć.

– A co? Człowiek się napracuje, to sobie chociaż trochę poleży.

Zośka biegała wkoło.

– Roboty zawsze mnóstwo, dzieci pełno, robić trza.

– Taka robotna, taka szybka, zwinna jak piskorz do roboty. Zawsze do ludzi na odrobek chodziła i w swoim polu wszystko zrobione. Dobrze, że przy lesie pola, to chociaż człowiek popatrzy sobie na ten piękny świat. Bo ciężko tak tylko pod nogi zaglądać. Przerywkę buraków, kartofle

obrabiać, stonkę zebrać, bo to przecież zeżre wszystko i nic nie zostanie, nawet dla dzieciaków, a co dopiero dla państwa. Chociaż w południe chleba z margaryną przegryzę i wody ze źródła dzieciaki przyniosą. A co to za pyszna woda z tego źródełka, zimna, dobra, zdrowa. Posiedzę na miedzy z sąsiadami, pogadam.

Zośka zawsze tylko słuchała, jak inni mówili. Sama małomówna była, tylko oczy promienne miała i śmiała się głośno, zadowolona. Jej rechotliwa dusza, siłą powstrzymywana, dławiła się pod naporem szczęścia, pękała wybuchem i kaskady zdrowego śmiechu niosły się echem po polach i lesie. Powstrzymywała słowa, tłumiła je w sobie i tylko wrzaskiem swoim przypominała, że żyje.

Dzieci szum zawsze robiły, a ją zawsze głowa bolała. I kiedy Franek Wolnej Europy słuchał po kryjomu, żeby nikt nie słyszał, bo sąsiedzi doniosą, słuchała razem z nim i płynęła myślą w ten inny świat. Dla Franka to były wieczory pełne nadziei na lepsze jutro. Potem opowiadał ludziom, że tam na świecie jest lepsze życie. Tam to ludzie wiedzą, że żyją.

– A co człowiek ma z tego życia? Haruje jak ten wół i wszystko dla państwa oddaje. Robisz człowieku, a nic nie masz.

I tak życie im płynęło.

„Ciągle zapracowani, to chociaż sobie popije i poje. Co więcej trzeba?”

A potem wrzaski w domu, krzyki, że znowu nachlany, dzieci patrzą. Wówczas, nie mogąc znieść awantur Zośki

i swojego pijaństwa, rozwalał piece, potem je składał na drugi dzień. Do południa musiał się uwinąć, bo jeść trzeba było nagotować.

– Człowiek taki durny, napije się, rozwala piece, a potem to trzeba składać! Po co ja to robił? Ale człowiek durny.

Ciągle to samo sobie powtarzał, za każdym razem ten sam tekst. Dzieci chowały się po kątach, a matka lamentowała.

Ciekawska

To małe było milutkie. Wesołe jak matka, ciągle ciekawskie i w każdą dziurę zaglądające. Ciągle zadawało pytania, ale nigdy nie otrzymywało odpowiedzi, bo czasu nie było.

Razu pewnego Franek poszedł za chałupę, bo o ubikacjach wtedy nie wiedziano nic, nie tak jak to teraz. Szło się za chałupę, albo do wiaderka w nocy. I to małe ciągle zaglądało, co ten tato tam robi i ciągle pytało:

– A co to? Co to takiego?

A Franek odsuwał się. Jak on tędy, to ona tamtędy. I tak w kółko.

– A co ty tak zaglądasz i zaglądasz? Nic to nie jest – odpowiedział nieco zirytowany, bo spokojnie swojej

potrzeby nie mógł załatwić. A to małe ciągle zaglądało i zaglądało.

Zabierał Franek tę małą ze sobą, łaził po sadzie i polach, i pokazywał jej, jak to wszystko pięknie rośnie, jakie to wspaniałe i pachnące. Słuchała jak zaczarowana tych opowieści i co jej się roiło w małej główce – tego nikt nie wiedział. Zawsze spokojna, a jednak ochocza do zabawy. Tylko nigdy dla niej miejsca nie było.

Potem Zośka jeszcze dwie urodziła. Też śliczniutkie. Ta najmłodsza to najukochańsza, bo to takie małe i ostatnie.

Nastały święta Bożego Narodzenia. Wigilia. U sąsiada weselisko. U Zośki gotowali, bo nie dało się wszystkiego na jednym piecu zrobić. No, popić też trzeba było. Posiadali synowie sąsiada z Frankiem do stołu i pili, a śmieli się przy tym... a dokazywali... Dzieci bawiły się i wycinanki robiły na choinkę, bo bombek nie było jak teraz. Kiedyś dzieci same wszystko robiły. No i wymyśliły sobie wyścig, która pierwsza u taty na kolanach siądzie. Te dwie starsze były pierwsze, ale ojciec najstarszej z trójki kazał zejść z kolan, gdyż ta najmłodsza musiała usiąść, bo przecież najmłodsza była. No, to obrażona dziewczynka zeszła z kolan, ale usiadła sobie na garnku z rosołem, ugotowanym na weselisko. Garnek stał na podłodze. Zdziwiona nawet nie zapłakała. Rajtuzki przykleiły się do pośladków. Położono ją na łóżku, a ona nawet łzy nie uroniła. Widziała, jak ojciec szlochał, klęczał przy łóżku, płakał i płakał.

I tak została w tym zastygnięciu. W szpitalu zdana sama na siebie, milcząca i bolejąca, nie miała nikogo. Widziała tylko szczebelki łóżeczka i drzwi przez nie. Ciągle wpatrywała się w nie, czy ktoś do niej przyjdzie, może mama, może tata. A tu nic, tylko pielęgniarka pochylała się i pytała, czy boli. A ona leżała i leżała, łzy bolesne, bezgłośne, czasami spłynęły na materacyk. A w telewizji mówili o wypadku poparzenia. Jakie to miało dla niej znaczenie, dla małej, moczącej się w łóżko dziewczynki? Nawet bólu nie czuła. I trwała w tym zastygnięciu chyba całe życie, zamyślona i targana przez nie, samotna i zdana tylko na siebie.

Dom
Pusty
Ktoś mieszkał w nim
Zostawił ściany
Ślady po obrazach
I okno otwarte
W nim firanka
Szarpana przez wiatr
Łóżko zostało
Puste
Kiedyś siedziała w nim
Mała dziewczynka
Nóżki sięgały do podłogi

Zamyślona
Zapatrzona w plamę
Na podłodze
Tam był jej świat
Kwiaty na łące
I las w nim droga
Pełna kamieni
Czuła zapach wilgoci lasu
Słyszała psy szczekające
O zmroku
Noc pachnąca gwiazdami
I deszczem
Gdy spojrzała w okno był już dzień
Radosny i pogodny

W którym zobaczyła
Plamę spod stóp
Cały świat przeniosła w przestrzeń
I tam zamknęła





Koniec Wersji Demonstracyjnej